№ 17.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 14. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Przejeżdżając nasz kraj, przedstawia nam się w niektórych okolicach smutna jego postać. Choć już częstokroć pomiędzy chatami słomą pokrytemi dach się czerwieni, przecież wieś pospolicie wydaje się zasępiona, a w koło niéj częstokroć wyglądają piaski; jeżeli zaś grunta dobre, to zawsze wielka jednostajność, która musi nudzić. Czasem atoli jest okolica bez gór, bez rzek, bez jezior, a przecież powabna i piękna. Niemasz wątpliwości, że posępność lub wesołość każdéj okolicy jedynie od drzew zależy. Ileż my to mamy bogatych ludzi, którzy ubiegają się za pięknemi pojazdami, pięknemi końmi, pięknemi szorami, nareszcie pięknemi domami, stajniami, a mało takich, któryby się ubiegali za pięknym widokiem na swe włości, co przecie łatwo w kilku latach zrobić. Cała bowiem malowniczość okolicy głównie polega na tém, aby ją poprzecinać grupami i liniami drzew. W niejednem miejscu znachodzą się prawda wielkie parki, ale pocóż park na wsi, kiedy sam ogrodnik po nim tylko chodzi. Niech parki będą po wielkich miastach, aby urzędnik, kupiec, rzemieślnik, co cały dzień siedzieli nad aktami, nad rachunkami, nad warsztatem, mieli się gdzie przejść wieczorem; żeby chorowici mieli gdzie około południa zaczerpnąć świeżego powietrza, ale cóż po parku na wsi, gdzie w lecie podczas pogody każdy mieszkaniec, jeżeli niejest jaki leniwiec ospały, najwięcéj dnia spędza pod gołém niebem, a ma do przechadzki obszerne pola, łąki i częstokroć lasy. Ganiąc jednakże parki po wsiach przy dworach, uważając je za zupełną śmieszność i niedorzeczność, chcielibyśmy, aby wszystkie grunta jednéj wsi, większych dóbr i całego kraju jeden tylko park stanowiły. Jakże to każdemu mającemu dobra łatwo dokazać, gdyby tylko rozumiał, co stanowi piękność, co nawet przynosi pożytek. Niech każdy wysadzi drzewem drogi, poosłania topolami dachy, pozasiewa piaszczyste pagórki sośniną, a w niektórych miejscach trawą; tu i owdzie wsadzi kilkadziesiąt brzezin, wierzb, akacyi; niechaj znowu bagniste bezużyteczne dołki zamieni w strużki olszowe, rowy po mokrych łąkach obmocni wierzbami, ileż to będzie drzewa na opał i różne porządki, ile pastwiska lepszego, ile kryjówek dla zwierzyny, ile zasłony od burz i wiatru dla zboża, ile przytułku dla bydła, ile schronienia dla ludzi pracujących na polu w czasie upału albo ulewnego deszczu. Więc korzyści niemałe, a jaka dopiero malowniczość okolicy, jaka piękność prawdziwa. Kto jest panem obszerniejszych gruntów, a kto się na tém nie zna, kto w téj myśli niepracuje, ten niedopełnia obowiązku względem ziemi, któréj część szczęśliwym losem dostała mu się na własność. Wreszcie trudno mu przyznać, że kraj swój należycie kocha, boć przecie widzimy codziennie, że kiedy człowiek ma w jakiéj rzeczy zamiłowanie, to też dba o jéj zewnętrzność, o jéj ozdobę.

Po miastach powstały Towarzystwa upiękniania, i od tego czasu miasta, te dawniejsze wielkie klatki z murów ponurych, przedstawiające niejako obszerne więzienia, dzisiaj tu i owdzie mają pięknie przyozdobione place trawnikami, krzakami, a ulice drzewem. Dobrzeby było, gdyby właściciele całego powiatu albo okolicy zawiązali się także w podobne stowarzyszenia, aby wyznaczali nagrody, publicznie ogłaszali ktoby najwięcéj drzewa zasadził i piasków

latających w trawniki zamienił. Tworzące się po powiatach towarzystwa agronomiczne, mogą wreszcie oddzielne w tym względzie stowarzyszenia zastąpić i dla tego zwracamy ich tu uwagę, aby oprócz korzyści przemysłowéj także i przyozdobienia okolic z uwagi niespuszczały.

Ponieważ nasz dziennik z powołania swego niemoże się często w ręce agronomów dostawać, przeto tę myśl podsuwamy czytelniczkom, aby swego wpływu na agronomów użyć niezaniedbały.

Pieśń smutku.

(Ciąg dalszy.)

III.

— I cóż? pytał Henryk powracającego z wioski Janusza — i cóż, widziałeś go?

— Widziałem; biedny Edmund, ledwiem go zdołał poznać, tak zmieniony.

— Czy obłąkany?

— Zdaje się — jednak mówi przytomnie; są chwile, w których niepoznałbyś jego choroby umysłowéj, tak nikną wszelkie jéj ślady, tak mówi dobrze, trafnie.

— Może to tylko pozor. W czémże leży właściwie jego obłąkanie?

— W rozigraniu fantazyi; zdaje się, że pisze poemat, kiedy z tobą mówi — cała przyroda odżywa w jego słowach: wiatry, księżyc, drzewa, to istoty żyjące, w około nas pełno duchów ulatujących, mięszających się do życia; śpiewy ich brzmią w duszy Edmunda ustawicznie. Zresztą niezwykle barwi swoje wyrażenia, zamyśla się, spoziera dziko, czasem zaśpiewa, zaimprowizuje. Kiedy mówi, roześmieje się często wtenczas, gdy niema z czego, a jeśli mu się zdarzy szydersko spojrzyć lub sarkastyczne wymówić słowo, zadrzy cały jakby piorunem rażony, wzdrygnie się, twarz jego przybiera wyraz dziwnie łagodny, zdaje się, że się czegoś obawia, że skarzyć będzie jako dziecko łzami, że jest słabym na duchu, — i znów nagle się zerwie, wyraz twarzy jego dzikością zabłyśnie, wtrąci w rozmowę słów kilka, jakby do siebie przemówionych, i daléj wiedzie ciąg przerwanéj myśli.

— Więc on z miłości ku kobiecie wpadł w obłąd!!

— O ja tak niemyślę! bo kiedy mu powiedziałem, że i my tu jesteśmy, jął mówić zupełnie przytomnie i żądał widzenia się z tobą.

— I cóż?

— Przystałem; jeśli chcesz go widzieć, pójdź ze mną.

W krótkiéj chwili przeszli obaj przez pobliskie zarośle, minęli strumyk i stanęli na otoczonym krzewinami pagórkn. Widok był piękny: z jednéj strony zachodzące słońce wysyłało ostatnie pożegnawcze spojrzenia oblubienicy swojéj — ziemi i kąpało się w kilku łzawych chmurkach, co jako myśli swawolne przemknęły się przez złote słońca oblicze, słoniły je, aby po chwili ukazać tarcz jaskrawszą, czystszą, aby same się zakrwawić jéj promieniami; z przeciwnéj znów strony, drugą szczeliną pomiędzy krzewami rozstępującą się, ujrzyć można było długą zieloną dolinę, otoczoną lesistemi wzgórzami. Dolina była obszerna, a środkiem jéj toczyła swoje fale poważna nasza polska rzeka. O Wisło! Wisło! kochanko moja!... o Wisło, rzeko ojczysta, jak ty piękną jesteś! Wisło niebianko, dziewico polska, czemu ty tak uroczą jesteś? czém ty tak czarujesz serce moje, że gdy o tobie pomyślę, już cały w zachwyceniu jestem i z roskoszy się nieposiadam? srebrne fale twoje są poważne a dziarskie, i gdy na cię patrzę, zda mi się, że widzę starego Polaka, z siwym włosem i wąsem siwym, a czerstwą twarzą, młodzieńczą duszą i karabelą, co nieraz w oczy śmiertelnym blaskiem wrogowi świeciła. A gdy się rozdąsają te twoje fale i góralskiemi śniegami się wzmogą, to ołowiu przybierasz barwę i zda mi się, że jesteś jako ten ciężar, co nasze przytłacza serca, ten ciężar żałoby, tęsknoty! O Wisło, a kiedy zaszumisz falami, to zdaje się, że burzany stepów ukraińskich przebywa hufiec hussarzów na dzielnych pędzący rumakach, i że te rumaki potrząsają długiemi grzywami, a jeźdźcy skrzydła rozwinęli i proporczyki na wiatr rozpuścili, i pędzą, pędzą jedną myślą zapaleni, jedném natchnieni uniesieniem. O Wisło, a gdyś ty spokojna i czysta, a błękitniejesz z dala smutno, jako smutno niebo polskie spoziera, a z bliska jasném jesteś zwierciadłem, i te piękne brzegi twoje dwoisz, brzegi płaszczyste, pszeniczne, zielone łąkami i wierzbą smutnie chylącą się, by przejrzyć swą piękność w twojéj Wisło głębinie, i kiedy dwoisz te wioski ubogie z niskiemi strzechami, przy których drzewo w pół uschłe z gniazdem bocianiém, stoi na straży cnoty i niewinności — o Wisło, to jesteś wtenczas tak piękna, jak ta naszą ziemica, jak serce jéj Ludu! — Teraz to Wisłę naszę ujrzeli nasi dwaj męże, tak spokojną, tak czystą i piękną. Ciemnieje odległa w końcu dolina, szarzejąc fantastycznemi postaciami, a głosy śpiewu kiedy niekiedy z zielonych łąk dochodzą do wzgórza, i pędzi strudzony pasterz trzody powolnym krokiem ku wiosce i wraca wieśniak z roboty i pod niebem ciągną ptaki — powoli, jako chwile bo-

lesnych oczekiwań — do miejsca spoczynku. Edmund już czekał na wzgórzu.

— Witaj, witaj Henryku! zawołał pełen uniesienia i radości — witaj mój bracie, a błogosławioną niech będzie chwila, w której cię na ojczystéj oglądam ziemi.

— Cóż ty tu robisz? pocóżeś przybył?

— Czy widzisz tę pobliską brzozę, czy widzisz jak rozpuściła warkocze i zdaje się płakać, tak jest zamyśloną i smutną; powiedz mi, czemu ona się nie obraca i niepatrzy tam za słońcem gasnącém? powiedz mi, czemu niezachwyca się tą Wisłą i jéj zielonym brzegiem, temi wzgórzami i temi łąkami? Powiedz mi!

— Ależ to niejest odpowiedzią na moje pytanie!

— Jest, jest Henryku! bo oto ty myślisz, że ta brzoza wzrosła z ziemi, że za korzeń jakoby więzień przykuta, poruszyć się od wzgórza niemoże! o niemyśl tak: ona żyje jak i ty, ona jest piękną dziewicą; popatrz na nię, popatrz! ta smukła kibić, czy jéj niewidzisz? Cała w bieli jest, a wzrok jéj modry, jako najczystsze niebo, a włos jéj — popatrz! Włos jéj w liczne sploty się wije, a łza spływa po jéj bladém licu; widzisz, wyciągnęła ramiona i zda się, że pochylona na przód, chce objąć kogoś i cisnąć do łona swojego! Jak namiętnie poziera, jak pełną jest miłości — popatrz! A wiesz, kto jéj kochankiem? Cały lud polski jéj oblubieńcem! Moja dziewica, moja piękna brzoza — ona do szaleństwa kocha nasz lud!... i każde drzewko tak, i każda roślinka, i wszystko, co tę naszę ziemię okrywa, co na niéj wzrosło, co nią żyje, wszystko do szaleństwa kocha lud, który tę ziemię zamieszkał. Otóż ta brzoza nie ku słońcu, choć to pięknie zachodzi, się skłania, otóż i nie ku Wiśle wychyla oblicze swoje, chociaż nic w świecie piękniejszego niema, nad rzeki nasze Wisłę i ukochaną Pilicę, spokojną i cichą, ale ta brzoza ku ludowi się całemu pochyla — i kocha i ubóstwia go!

— Piękna jest jego waryacya, Januszu!

— Waryacya!? ha! ha! ja więcéj widzę niż ty i dla tego mnie mienisz waryatem? O, jeśliż Edmund waryatem, któż ma myśl nieobłąkaną? ja niemam myśli błędnéj, tylko że kocham nasz lud i naród cały nadewszystko, kocham bez miary i granic. Edmund niejest waryatem. Posłuchaj mnie tylko. Edmund tu przybył... przybył... ot dla tego, dla czego ta brzoza tu właśnie a nie gdzieindziéj stoi. Edmund kocha i dla tego mówią inni, że on szalony. Edmund nawet o swéj Paulinie kiedy myśli, to tylko dla tego, że w niéj wyższą ideę widzi uosobioną. O Edmund nie jest szalony! nie jest szalony!

I biedny obłąkaniec zaczął się śmiać i płakać razem.

To jednak dziwny człowiek, pomyślał Henryk — i znów chciał coś przemówić do Edmunda, ale ten z płaczem obrócił się do niego.

— Henryku! mówił — ja czasem myśli zebrać niemogę, ja czasem tracę przytomność i pamięć, ale ja niejestem obłąkanym, o niejestem — wszak niejestem, mój Henryku — wszak ja niejestem obłąkanym! Widzisz, mnie ludzie bardzo, bardzo serce rozkrwawili, a jednak ja ich kocham, wszystkich kocham — i niemogę, niemogę czasem już z boleści utrzymać myśli na wodzy, ale waryatem niejestem. Chociaż niewiem, co robię, to nie moja w tém wina, bo ja bardzo wiele cierpiałem. Ja teraz pamięć mam jeszcze, ja ci opowiem moje życie, ale cicho, cicho, żeby tylko kto niesłyszał, bo oni jakby usłyszeli, toby się wyśmiali zemnie, toby się wyśmiali, a to tak bolesném jest, być wyśmianym!! I ty nic nikomu niemów; czy niepowiesz mój Henryku?

— Nie, nie, bądź pewnym.

— A ja cię może unudzę! cóż tobie do mojéj boleści?

— Mów, mów tylko, wyléj boleść na serce przyjaciela.

— Mówić niemogę, ja mówić niepotrafię, ale ci zaśpiewam, zaśpiewam ci pieśń smutku, jeśli mi serce śpiewając niepęknie!

IV.

Oto jest powieść Edmunda:

— Widzisz tam jakiś ubogi domek? Ściany jego są okryte rozmaitemi wizerunkami, a z twarzy starych, szlacheckich, niezdjęła śmierć rumieńca, a penzel mający je na płótnie powtórzyć, penzel choć martwy nie zabił ognia w spojrzeniu. Te obrazy patrzą na mnie wielkiemi oczami i zdają się martwém pytać słowem: „co tobie Edmundzie? co tobie biedne dziecko? czemu nieigrasz z rzeszą dzieci i rówienników swoich? czemu nieidziesz biegać i uganiać się za motylami? o Edmundzie!“ — a ja biedne, opuszczone dziecko, ja siedzę sam z myślami mojemi i smutnie dumam! ja mam się iść bawić? i czemu? bracia mnie niekochają, bo chorowity jestem; rówiennicy się ze mnie śmieją, bo niejestem silny, a siostry nieprzemówią do mnie słowa, bo brzydki jestem, i inne dziewczęta śmieją się z Edmundka!! Więc sobie stworzyłem swój świat! w nim jestem panem samowładnym, w nim stwarzam i niszczę według woli swojéj, w nim nikomu się niesprawiam z myśli i uczuć moich, w nim nikt się ze mnie nieśmieje, wszyscy mnie kochają! I jabym

miał wyjść z mojego świata w świat rówienników moich? w świat, gdzie mnie wszystko zawodzi, gdzie mnie wszyscy wyśmiewają? O nie, ojce! o nie, wizerunki, co mnie pytacie; ja niewyjdę do braci moich, mnie tu dobrze!

— Ja biedne dziecko budowałem sobie własną dziedzinę! miałem tam grody wielkie, ludne i zamki błyszczące złotem, i potwory, które zwalczali moi wojownicy, i olbrzymów, ktorzy mi moich więzili przyjaciół... o ja tam miałem wszystko, wszystko, i ludzi tylu co mnie kochali, a serce ich było jako serce gołębicy, czyste, niewinne, a umysł ich był szczerotny i prosty, jako myśl moja była wówczas!

— Przychodzi ojciec i przemawia do mnie! a ja biedne, wyśmiane dziecko, nieruchawe, nieumiem dobrze odpowiedzieć, nieumiem ojca pokochać, ja się nieroześmieję radośnie kiedy on wejdzie, bo mnie żal przytłacza, bo mi smutno i uśmiech niespocznie na obliczu mojém, które tylko boleje i wiecznie boleje! Ojciec więc niekocha mnie i już niespojrzy na biednego Edmundka.

— A matka? matki niemam, matka oddawna umarła, jeszczem jéj pierś ssał, jeszcze niewiedziałem, jak ją kochać, ani niewiedziałem, że ona mnie kocha. Więc tu sam, sam jeden jestem, ja biedne dziecko; niekocha mnie nikt i ja nikogo niekocham.

— Spojrzyj teraz o kilka lat późniéj, spojrzyj w życie moje. Oto ten chłopczyk blady z zapadłém okiem, z nędzną postacią a włosami złotemi, to ja jestem Henryku, to ja. Uczę się noc całą siedząc nad książkami i ze wszystkich ja jeden najlepiéj w całéj klassie pojmuję, najdokładniéj wyuczyłem się wszystkiego, bo ja jeden ciągle, ciągle pracuję, ale mi za to ani słowa zachęty, ani słowa pociechy żaden niedorzuci nauczyciel, ani ja pochwały otrzymam, ani nagrody szkolnéj! A spółucznie! o ci się bawią, o ci szczęśliwi — w piłkę grają i śmieją się sobie! Czyż się o Edmunda spytają? czyż go unikają? nie, owszém — szukają biednego bladego chłopaczka, bo Edmund za każdego winę na siebie przyjmie, i jeśli kto nieodrobi wypracowania, Edmund mu je napisze, a jeśli kto niewyuczył się lekcyi, to Edmund powie, że on temu winien, bo mu zabrał książki, bo mu przeszkodził, i Edmund za wszystkich odbiera nagany i kary! Więc mnie ojciec niekocha, a woli braci moich, i nauczyciele, chociaż ja pilny jestem, mają za najgorszego ucznia. A rówiennicy? Ci muszą cię kochać Edmundzie, kiedy tak żyjesz dla nich i dla nauki, kiedy tak braterskim dla nich jesteś! Nie! oni się ze mnie śmieją, żem taki dobry, bo sądzą, że to z niedołężności ja dla nich tak wszystko czynię; o nie! oni śmieją się ze mnie, bo ja nieumiem grać w piłkę, ani mocować się z nimi!

— Patrzaj! teraz z Edmundka, biednego opuszczonego dziecka, stał się młodzian dorosły, już szkoły skończone, już na uniwersytecie jestem. A życie moje w niczém się niezmieniło, tylko że oprócz nauki, przez dzień cały trwającéj, jeszcze noce nie dla wykształcenia siebie spędzam, ale żelazną pracą zarabiam na obiad. Nikt zemną nieżyje. Ojciec nieprzemawia wcale do mnie. Niespyta jak mi się powodzi, co porabiam, bracia nawet niespojrzą. Wśród swoich tak obcy jestem. Młodzież uniwersytecka żyje huczno, żyje pańsko, a ja niejestem z nimi, więc ani wiedzą o mnie! Ale straszniejszą od walki z zimném kamiennem uczuciem świata i od walki z nędzą, z głodem i zimném, jest walka ze sobą samym. Poniżony, niekochany, do najmniejszéj rzeczy mający tysiące przeszkód i trudności, ja jeszcze muszę sam siebie przekształcać i oduczać się tego czego mnie uczono, a nowe ze siebie wyrobione brać w serce żywioły, i jeśli gdzie myśl prawą napotkam staram się z niéj wykształcać. Oto mnie uczono, żeby bić czołem przed złotem i herbownym blaskiem panów, oto kazano wierzyć, że połowa rodu ludzkiego skazana jest na ciemnotę, na ubóstwo, na ucisk i niewolę, aby druga połowa mogła żyć sobie wygodnie, zbytkownie. Oto kazano mi wierzyć, że syn bogatego a herbownego człowieka, winien być już dla tego, że jego rodzic czy tam któryś przodek był podobno dobrym i zdolnym człowiekiem, winien mówię, być szanowanym, czczonym, choćby on sam ograniczonym był i złym; oto powiedziano mi, że dobrze jest ciemnotę wzmagać między tłumami, bo gdyby wszyscy rozumni byli, któżby pracował i uprawiał ziemię? kazano mi przed suknią mieć poszanowanie, i kłamanym faryzejskim wierzyć wyrazom! A teraz ja zaczynam uczuwać, że to fałszów mnie nauczono, zaczynam widzieć, jaką mnie otoczono siecią przewrotnych rozumowań! O ja biedny! — wszystko, czegom się nauczył, jest faryzejskie i złe; trzeba wszystko ze siebie wyrwać, siebie samego przerobić, i z siebie nowego stworzyć człowieka!

— Zamknięty zawsze w sobie, nieudzielający się nikomu, teraz niemogę się dłużéj powstrzymać. Tym z kolegów, których sądziłem najzacniejszymi, otwieram serce i myśl swoję, chcę od nich pomocy w przerodzeniu się na nowego człowieka, i ci mnie wyśmiali i ci mnie szalonym marzycielem nazwali! Alem ja czuł prawdę w sercu, ją kochałem i od niéj mnie nic odwieść niemogło. Więc sam się kształciłem i walkę z sobą samym odbywałem ciężką. *(Dokończenie nast.)*

Projekt do zaprowadzenia i upowszechnienia dzieł dla ludu.

Założenie po szkołach elementarnych bibliotek na pożytek młodzieży wiejskiéj*) wtenczas dopiero widoczne przyniesie owoce, gdy liczba książek w tym duchu i w tym charakterze pisanych zwiększy się. Liczba takich dzieł u nas jest nadzwyczajnie jeszcze mała, i dopóki się téj potrzebie niezaradzi, pomienione biblioteki nie przyniosą pożądanego owocu. — Projekt niniejszy ma na względzie:

1) zastanowić się, jaki powinien być charakter książki dla ludu?
2) w jakim rodzaju książki byłyby najpotrzebniejsze?
3) jak zachęcić pisarzów do pisania dzieł w tym duchu?
4) jak zebrać i urządzić ku temu fundusze.

I.

Książka ludowa powinna być zastósowaną do pojęcia ludu wiejskiego. Stan jego oświaty jest elementarny. Czytać, pisać, rachować, pierwsze zasady religii, oto wszystko, czego się dziecko na wsi nauczy. Wiadomość z nauk przyrodzonych, wyobrażenie społeczne i moralności, są na tak niskim stopniu po szkółkach, że zaledwie policzyć to można w poczet rzeczy oświecających.

Książka dla ludu, nie powinna się zatém nigdzie odwoływać do poprzednich jakich wiadomości dla ludu, ani takowych przypuszczać. I owszem tak powinna być napisana, aby umysł młodzieńczy, nic więcéj nie posiadający, jak co się wyżéj powiedziało, zrozumieć ją mógł należycie i zupełnie. Każda rzecz nowa powinna zatém być objaśniona, rozprowadzona w swych szczegółach, i przystawać powinna tém objaśnieniem do prostego saméj rzeczy pojęcia.

Aby jednak objaśnień w przypiskach nie dawać, ani też ciągu rzeczy wśród textu takiémi objaśnieniami nie przerywać, cała sztuka autora na tém zależy, aby przedmiot swój tak obrał i prowadził, iżby jednym ciągiem płynął, i całością jasną się zaokrąglał.

Obok téj jasności, która zatém mieć powinna styl w krótkich peryodach, wyrazy i wyrażenia zwyczajne, a nie wyszukane, i która więcéj wymaga roztworzenia myśli, niżeli zwięzłości i ścisłości — potrzeba oraz, aby myśli były żywe i jędrne, świeże, zawsze coś nowego przedstawiające, coby ciekawą wyobraźnię młodego wieśniaka w ciągłym utrzymywało interessie.

Dowody przez przykłady i obrazy, z życia ludzkiego i ze zewnętrznego świata zdjęte, więcéj tu przekonywają, niżeli rozumowania oderwane. Plastyczność jak najwieksza przedmiotu, rozlane w nim życie, przez ciągłe przedstawianie świata i ludzi, nie zaś abstrakcya, jest najpotrzebniejszą zaletą książki ludowéj.

Żadna z takich książeczek nie powinna być obszerniejsza nad sześć najwięcéj ośm arkuszy; powinna być w texcie poprzecinana gęsto napisami treść oznaczającémi, a przynajmniéj podzielona rozdziałami.

Druk większy, na papierze jak najtańszym, byle czytelnym, aby książka taka np. pięcioarkuszowa za trzy srebrniki mogła być do nabycia.

II.

Co do treści książek ludowych, na pierwszém miejscu kładę książki rzeczowo oświecające, na drugiém pouczające historyi, na trzeciém stosunków społecznych, na czwartém rozweselających umysł powieściami moralnémi.

1) Do pierwszego rzędu monografie z trzech królestw tworów przyrodzonych, albo też krótkie całości zebranie, dają obfite nader źródło pisania. Nie chodzi tu cale o systematyczność, ale o zbogacenie umysłu wiadomościami, i podniesienie myśli do tego ogromu żywotniéj i nieżywotniéj natury, i do téj mądrości, która się w każdym tworze objawia. Nie mają to być książki naukowe, ale ciekawe i pouczające. Nie należy wszakże nigdzie pomijać praktycznéj strony, pożytku przyrodzonych tworów dla rólnictwa i rękodzieł.

Po historyi naturalnéj następuje popularny powieściowy niemal wykład światła, ciepła, elektryczności, i sił natury, oparty na przykładach i zdarzeniach prawdziwych.

Nakoniec należy tu jeszcze w podobny sposób przedstawiona technologia i historya wynalazków. Że z technologii agronomia, rybołóstwo, leśnictwo i ogrodownicwo pierwsze mają miejsce, samo się rozumie.

2) Wiadomości historyczne wielką są potrzebą ludu: książek takich, jak Pielgrzym w Dobromilu, dosyć napisać nie można. Monograficzne opowiadanie historyczne, zastąpićby bardzo dobrze mogły, innego gatunku powieści. Autor starać się o to powinien, aby lud poznał i pokochał przeszłość narodu. Wytykając zatém wady prywatnych osób i nadużycia, nie budzić nienawiści przeciw stanom; wytykając zgubne sprawy Jezuitów, nie naruszać religii przodków.

3) Książki społecznym stosunkom poświęcone, nie tylko mają obeznawać lud z urządzeniami istniejącemi, i dać mu wyobrażenie, jak się one w czasie rozwijały, ale oraz powinny objaśniać go z potrzebami wieku, odkrywać przesądy, nadużycia; wskazywać środki do pod-

*) Zobacz projekt tego rodzaju od Towarzystwa Gostyńskiego, umieszczony w Przyjacielu Ludu roku zeszłego.

niesienia oświaty przemysłu, i szczęśliwości społecznéj. Wszakże najostrożniéj obrabiać należy ten przedmiot, aby niestać się obalającym tylko reformatorem.

4) Od romansów mdłych i miłośnych, jak od zarazy strzedz lud należy. Humor i dowcip byle w duchu ludu pomyślane, cel czysto moralny i obyczajowy, byłyby pożądane w powieściach lub sztukach scenicznych, których dla ludu całe jeszcze niemamy.

III.

Dla obudzenia pisarzy, do pisania dzieł w tym duchu, należy z funduszów publicznych autora każdego płacić, i dzieło jego drukować. Autorowi nie ma być nawet wolno zrzekać się honorarium, zostawując mu inną drogą użyć tych pieniędzy na cel publiczny. Ku temu utworzyć się powinno towarzystwo przyjaciół ludu ze składką roczną, która zwróconą będzie każdemu składkującemu w exemplarzu dzieł wyszłych, i te rozda, komu będzie uważał za dobre. To towarzystwo wybierze komitet z trzech osób znanych z talentu pisarskiego i z zamiłowania ludowéj oświaty. W ich ręku będzie szafunek pieniędzy, podanie przedmiotów do opracowania, osądzenie prac nadesłanych, wydanie i rozdział dzieł wydanych, oraz przysądzanie nagród. Prace ich samych powinny być wyłączone z pod konkursu i drukowane własnym, albo księgarskim nakładem. Jako najważniejsze zatrudnienie tego komitetu uważaćby należało nadanie kierunku ludowéj literaturze. Od czasu do czasu powinny być zatém podawane przez komitet plany książek, które za najstówniejsze i za najpotrzebniejsze uważa. Plany te opracowane jak najszczegółowiéj pod względem formy i rzeczy, ogłaszałyby pisma publiczne i wzywały pisarzy do zajęcia się tego rodzaju pracą. Krytyki książek w tym kierunku wychodzących także do obowiązków komitetu należą.

IV.

Fundusze na ten cel gromadzone, różnią się od innych składek dobroczynnych, że i wynagradzają datkujących odpowiednią ilością exemplarzy, i wracają się przez rozkup wydawanych książek.

Przyjąwszy, że się bić będzie 5000 exemplarzy, koszta jednego arkusza będą następujące:

honorarium autororowi	100 złt.
druk	50 „
papier	100 „
oprawa rachując 5 arkuszy na książkę, a 6 groszy od oprawy	200 „
	ogółem 450 złt.

Niech od 5000 exemplarzy odchodzi $1/5$ robota dla księgarzy, wypadnie 4000 exemplarzy na zwrót wydatku, a zatém arkusz mało co więcéj nad 3 grosze pol., czyli pięcioarkuszowa książka za 3 srebrniki. Gdyby zaś nakład wyniósł na 10000 exemplarzy, byłoby na każdym arkuszu 100 złotych w zysku, azatém na książce pięcioarkuszowéj 500 zł. Ten sam zysk jako oszczędzenie honorarium autora przynosi kazde nowe wydanie.

Przyjąwszy, że 20 arkuszy, a zatém około 6 książek tego rodzaju wyjdzie na rok, trzebaby na fundusz zakładowy mieć 6000 zł., którym 20000 exemplarzy książek pożytecznych między lud się rozejdzie. *L.*

Trzy myśli Henryka Ligenzy,

zmarłego we Włoszech 1840. r.

NAKŁADEM STEFANA SZCZĘSNEGO BOGDANA MIELIKOWSKIEGO wydane 1840. r.

Przedmowa jest jakby wydawcy, który podróżując po Włoszech napotkał gröb Henryka Ligenzy pod Palermo, i wystawił mu nagrobek marmurowy przy krzyżu drewnianym, wyciosanym ręką sługi zmarłego. Znalazł on w pomieszkaniu Ligenzy rękopis, na którym było napisane, aby go podać do druku. Mielikowski jest to prosty szlachcic, którego we Włoszech najbardziéj zajęła podpora Koloseum, i błota pontyńskie, bo podobne do pińskich, i gdyby był miał czas, chętnieby tam popolował na kaczki. O życiu i rodzinie Ligenzy nic więcéj się nie dowiedział, tylko, że przypłynął z Malty i zmarł na suchoty — i był dobry muzyk.

Początek poematu służący za wstęp, jest pisany wierszem. Tu poeta w krótkości ukazuje człowieka, co tylko wyprowadzonego z ciemności stworzenia, i walczącego ze swą naturą, a potém choć jeszcze cały przy ziemi — lecz już nią pomiata i wyciąga ręce ku niebu. Aż nareszcie zrzuca powicie natury, wdziewa szaty człowieczeństwa — i poczuwa się człowiekiem, występując ze świata starego materyalnego w świat nowy, gdzie duch panować zaczyna. Ale po pierwszém wzniesieniu znów ludzkość rozbiera się z człowieczeństwa, znów tęsknota i zwątpienie. Przecież nakoniec to złe przechodzi i w ludzkości wiąże ziemię z niebem wstęgą nowéj tęczy. I poeta tak mówi:

Coś myślą pojął — dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy — coś przeczuł natchnieniem —
Z strun twojéj lutni rozpierzchnięte dźwięki
Weźmiesz jak perły widome do ręki,
Gdy wrócą kiedyś świeże i stwardniałe
W życie wcielone z próżni zmartwychwstałe.
Na wieki wieków dane tobie — tobie
Coś marzył czasem, że twój koniec w grobie!

I teraz ludzkość poczyna iść drogą prawdziwego człowieczeństwa, być coraz doskonalszą, człowiek poznaje Boga jako poznał siebie, duch jego wzrasta, dochodzi szczytu samego stwórcy, i poeta tak kończy:

Teraz myśl, kochaj, stwarzaj, wieczne niebo w niebie.

Poeta zasnął, a głos go jakiś po imieniu zawołał „Cezara, Cezara!“ I uczuł jakąś lubość w tym głosie, że się podniósł i szedł za nim. Ujrzał czarną wieżę przy wielkim kościele, wszedł do niéj, a budowla i wszystko wewnątrz ubiera swoje kamienie, jakby w hafty i koronki. Wstąpił na dzwonicę, skąd widział wsie, miasta, i całą okolicę, a potém ludy przechadzające się tłumnie. Wśród nich widział garstkę ludzi w szatach żałobnych, którzy nieśli sztandar z napisem „Naród.“ Na nogach i dłoniach dźwigali szczątki łańcuchów i byli bardzo bladzi. Niektórzy nieśli dzieci konające, a inni trzymali zemdlałe niewiasty. Na czołach mieli wieńce jakoby cierniowe, a w rękach krzyże zwiędłemi kwiaty oplecione. Walczyli bez krzyku, zwyciężali bez pieśni, padali bez jęku. Tłumy narodu stawały w poprzek i pastwiły się nad ich obolałemi ciałami. A głos znów zawołał „Cezara, oto lud co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy.“ Ci co zostali przy życiu, pozabijali niewiasty na żądanie ich, a dzieci wrzucili do nieba. Kiedy poeta znów spojrzał, widział ludy przechadzające się spokojnie jak dawniéj, a na miejscu krwi zieleniła się murawa. Potém był w kościele gotyckiéj budowy: wszystko tu urządzone myślą średnich wieków. Pośród kościoła widać otwór, przy nim biały kamień, na tym krzyż z krwi, a pod krzyżem krwią napisane „Naród.“ I wszyscy co polegli ze swemi niewiastami szli przez kościół jakby za życia, bladzi i smutni. Dzieci ich jak aniołki latały w powietrzu, a ojcowie uśmiechali się, poznając przemienione dzieci. I zasiedli ławki, a odetchnąwszy sobie, zdjęli cierniowe korony, i podnieśli je ku posągowi Chrystusa, lecz o nic nie prosili, bo ich usta i piersi były przebite.

Potém Chrystus stąpił ku nim, zawiódł ich do grobu i rzekł: „odpocznijcie! kamień nad wami jak nademną zasunięty. Alboż ja nie przy was? Czemuż się wahacie?“ I znów kamień z napisem „Naród“ zapadł nad niémi. Potém ozwał się głos: „złóżcie dłonie na zimnéj pościeli, złóżcie czoła na trumny wezgłowiach, niech ostygną rany wasze, niech odpoczną serca. Zapomnijcie, aż przyjdzie na was i na ziemię waszę powtórnéj wiosny godzina!“

I ujrzał poeta z nich powstającą postać niby ze mgły, niby obraz malowany z twarzą niewieścią, smutną i doskonale piękną. Wzrok miała dumny choć łzawy, a czoło harde choć obrzucone cierpieniem. Ukochał ją i poszedł za nią. Mijały dni i lata, a on wiecznie z nią. Nieraz słyszał w górze pieśni przelatujących duchów, pod stopami płacz konających w kopalniach, a niżéj jeszcze śmiech podziemny szatana. I ujrzał szczyt skały, a na nim ducha podobnego do czerstwego starca, tylko, że mu u ramion wisiały bezpiórne skrzydła. Przygrywał na arfie i śpiewem swoim namawiał młodzieńca, żeby porzucił niewiastę, bo już nie ożyje, a jéj piękność jest tylko przeszłości wspomnieniem. Lecz postać obróciła się ku niemu, a cała przeszłość tych wszystkich, z pośród których wyszła, wybiła na jéj licach. Duch znów zaśpiewał, i kazał poecie iść żyć między ludzi, a on tu z nią zostanie, i śpiewać jéj będzie pieśń bez nadziei, bo struny inne przebrzmione pękły, została tylko struna nicości. I potém poruszył arfą na prawo i lewo, jakby nią rozciął powietrze, a z jednéj strony ukazał się smętarz i kości, a z drugiéj błękit i zieloność. Zdawało się, iż postać niewieścia chciała przystąpić do brzegu smętarza, by przynajmniéj zginąć wśród umarłych ludów. Duch zawołał na poetę „wybieraj.“ Lecz głos zawołał: „Cezara“ — i on poszedł za nią na smętarz. Ona znika wśród śniegów i zamieci, a orzeł co przed nią leciał, padł na umarłe sępy i skonał.

Sen poety się przerwał i myślał, że ich Chrystus oszukał. Zdawało mu się, iż ów duch śmiał się z niego, mówiąc: „A teraz?“ Ale i ze stosu kości się wydobyło: „A cóż teraz?“ I był w rozpaczy, kiedy znów usłyszał: „Cezara! czemu żałujesz, żeś życie poświęcił dla umarłéj, alboż nie wiesz, że jest zmartwychwstanie? A jakże zmartwychwstaną serca umarłe, jeżeli ich nie ukochają żywe, i krwi im nie udzielą połowy? Ta co zabrała życie twoje, oddaje je tobie, bo śmierć jéj była tylko złudzeniem! Patrz.“

I ujrzał gwiazdę wschodzącą, i uczuł, że będzie nieśmiertelny, bo ukochał nieśmiertelną. W około z prochów dźwigali się męże, i widmo Chrystusa. Lecz on zamknął oczy i upadł na ziemię wśród zmartwychwstających.

Zdawało mu się, że wilią Bożego Narodzenia wyszedł z Rzymu i ujrzał okręt bez płócien i masztu, a z masztu usłyszał głos: „Czy dziś wilia Bożego Narodzenia?“ Odpowiedział zmięszany, iż tak. Z okrętu wysiedli ludzie w białych czapkach i karmazynowych płaszczach, i zapytali o drogę do Rzymu. Poeta był im przewodnikiem. Mówili, że są ostatkiem szlachty, że im się anioł pokazał i powiedział, iż się spełni wola pańska, jeżeli o północy staną w Bazylice Śgo Piotra. Idą teraz za przewodnikiem, i spotykają pielgrzymów z pochodniami, krzyżem i obrazami w ręku. Połączyły się hufce, ci się wspierają na szablach, a pielgrzymi na kosturach. Tłum zdawał się pytać owych przy szablach, „co wy za jedni?“ A ci zdziwieni odrzekli: „ażalić nikt nas na świecie nie poznał?“ „Znamy was, wyście ostatni bohatyrowie ziemi.“ I ów lud powiadał: iż im anioł nie dał zasnąć, ale mówił: „że dni owych Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, i odtąd ani się rodzić, ani już umierać nie będzie.“

Teraz pierwsi ruszyli z miejsca, i wszyscy wśród rozradowanego ludu doszli aż do progów Bazyliki. Tu spór o pierwszeństwo, a wśród pielgrzymów słychać głosy: „Dotąd szlachta torowała nam drogę, czy i teraz przed nami wejdzie do świątyni.“ Ci schwycili za szable, żeby się bronić, lecz kardynał ukazując się na ganku kościoła, zawołał: „puszczajcie tych, którzy niegdyś naród cudzy dla wiary katolickiéj zbawili, a późniéj za tę wiarę poginęli; umarłych puszczajcie naprzód.“ W kościele ukazało się całe duchowieństwo zgrzybiałe, a nakoniec i papież, który o własnych siłach już tronu nie zasiadł. W chwili podniesienia usłyszeli głos „Jestem,“ i ujrzeli wielką postać opartą czołem w środkowéj bramie, z zakrwawionemi rękami i nogami, która zwolna znikać poczęła. A kardynał wyciągnął dłoń w stronę grobu Piotra Śgo, mówiąc: „czasy się dopełniły, obudź się i mów.“ Podniosło się ciało, na pół zanurzone w grobie, ręce wzniosło ku sklepieniu i krzyknęło „biada.“ Sklepienie świątyni zadrzało i porysowało się, a kardynał znów rzekł: „Piotrze! czy poznajesz mię? Głowa twoja ostatniéj wieczerzy spoczywała na piersi pańskiéj, i tyś nie umarł nigdy dla ziemi.“ Pierwszy znów mówił: „a teraz kazano mi, bym wśród ludu zamieszkał, ogarnął świat i przytulił go do piersi, jak pan głowę moją ostatniego wieczora.“

„Czyń jak ci kazano,“ i zapadając się z łoskotem powtórzyło ciało „biada mi.“ Cały gmach zaczął się walić, kardynał podpierał ręką sklepienie, żeby nikogo nie zatracić. Wszyscy szczęśliwie wyszli, tylko papież i szlachta zostali u stopni ołtarza i tam umarli.

Teraz kardynał zasiadł na kopcu gruzów, z ciała jego opadły purpury, przemienił się w postać białą i rzekł: „odtąd się Chrystus ani rodzi, ani umiera na ziemi, bo już na wieki wieków jest i będzie na ziemi.“ O owéj zaś szlachcie czy już na wieki umarła, odpowiedział: „nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, pan odwdzięczy im, bo zachodzący jak wschodzący, umarli jak żywi, są z pana; owszem będzie im lepiéj i synom synów ich.“

Chociaż ten poemat wydany bezimiennie, któż jednak w nim nie pozna autora ....

MODY.

Paryż, dnia 30. Lipca 1844.

Największe elegantki noszą ranny ubiór z cweliszku w paseczki, lub gładkiego przyozdobionego haftem; wygląda to bardzo świeżo i układa się w lekkie fałdy.

Na większe ubranie dzienne: noszą zawsze bareże, szklniące jedwabne materye, różnobarwne tarlatany, szale koronkowe, mantyle z haftowanego muślinu, kapelusze z krepy, tiulu i ryżowe.

Bareżowe suknie zawsze obszywają wolantami, bo te, tylko na sukniach, które nie ulegają pognieceniu, najlepiéj wyglądają. Na organtynach i innych gumownych wyrobach, fałdowane garnitury są prawie niepodobnemi, bo tracą świeżość za najmniejszém zgnieceniem. Ale za to hafty białe lub kolorowe pięknie zdobią takie suknie.

Formy kapeluszy zawsze też same. Niemożna tego uważać za złe, owszem lepiéj zostać przy dawnych, kiedy te są ładne. Upięcia ich urozmaicają jednak. I tak: ubierają je w róże lub bukiety poziomków, do róży mięszają gładką różową krepę, jeżeli kapelusz jest z białéj. Na wszystkich ryżowych kapeluszach noszą kwiaty.

Ubiory na przechadzkę: słomiany kapelusz, suknia z kameleonu z stanikiem do góry, który jest przykryty pelerynką na przodzie w formie bawetu, sznurowaną na ramionach; rękawy wąskie z małemi wyłogami; na powłoce, zamiast wolantów, dwa szerokie zakłady.

Drugi taki ubiór: kapelusz z gros de Naples, na nim wenecki bukiet z piór. Szlafroczek z otwartym stanikiem bez kołnierza, z pod którego widać tak nazwaną rycerską gimpę, a u góry obszyty w fałdy, ułożoną materyą taką jak szlafroczek; szerokie rękawy spadające do łokcia, zakończone falbaną. Powłoka ugarnirowana z przodu tak samo jak stanik u góry.

Ubiór na wiejski bal: włosy skromnie ułożone; suknia z białéj organtyny z wyciętym stanikiem, krótkie i małe rękawki, powłoka bardzo szeroka z dwoma zakładami, na których są przyszywane paseczki z aksamitu, również na rękawkach i wyłogach u stanika.

Ubiór na wizyty wiejskie: kapelusz nawłóczony z białych koronek, z zasłoną krepową i z wieńcem z drobnych kwiateczków. Stanik u sukni najdłuszy jak być może, z gładkiemi plecami, przodek bez żadnych ozdób wycięty w serce i zachodzący do połowy ramion; rękawy spadające do łokci. Wierzchnia powłoka w formie tuniki, równie długa jak i spodnia, z końcami zaokrąglonemi; to wszystko obszyte zębami z takiéj jak suknia materyi, lub fałdowaną wstążką. Uzupełnia ten strój szal z koronek, lub mantyla z tarlatanu. Ubiory tego rodzaju bywają najczęściéj z kameleonu, z szkockiego fulardu, lub z materyi jedwabnéj w kwiateczki wrabianéj.

Panowie ubierają się najwięcéj czarno. Frak, pantaleony i westka, wszystko tego koloru, a często także krawat i rękawiczki. U laski zamiast kutasów zawieszają ciemno-fijołkowe emetysty.

Objaśnienie ryciny.

1. Suknia z organtyny, obszyta szmuklerską robotą i frandzlami, we włosach kokardy z wstążek.
2. Kapelusz słomiany upięty kwiatami, suknia z bareżu, mantyla z czarnych koronek.
3. Surdut sukienny, krawat w paseczki, biała kamizelka, pantaleony w kratki bez strzemiążek.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*